

**Tad Witkowicz**

Jan M. Fijor

# **Od nędzy do pieniędzy**

**czyli znad Bugu na Wall Street**

Fijorr Publishing Chicago – Warszawa 2009

# Rozdział 1

## Skąd się wziąłem?

Na świat przyszedłem w mroźny, zimowy poranek 9 grudnia 1949 roku. Byłem drugim i szczerze upragnionym synem Stanisława Witkowicza i jego małżonki, Adeli z Lichaczewskich. Upragnionym, bo mój starszy brat Zbyszek odszedł w wieku sześciu miesięcy na zapalenie płuc. Zmarł na stole, w kuchni, u ciotki, pod Terespołem. Gdy tylko Zbyszek zachorował i zaczął krzyczeć wniebogłosy, ojciec pożyczył konia z wozem, aby zawieźć dzieciaka do szpitala, w oddalonej o 56 kilometrów Białej Podlaskiej. W Kodniu nie było ani lekarza, ani nawet pielęgniarki. I choć zacinał konia batem do krwi, do szpitala w Białej Podlaskiej nie zdążyli. Dojechali jedynie do Błotkowa, pod Terespołem, mniej niż połowę drogi. W Błotkowie mieszkała mamy siostra. Położyli dziecko na stole, ciotka zapaliła gromnicę, bo w Błotkowie lekarza też nie było, i zanim zdążyła ją włożyć w małe rączki Zbyszka, mój starszy brat zmarł. Nie miał biedak żadnych szans. Do dziś nie wiadomo, czy to było zapalenie płuc, czy coś innego. Ludzie we wsi uznali jednak, że chyba zapalenie, no bo cóż by innego. Chociaż byli i tacy, co twierdzili, że Zbyszka ktoś zauroczył, bo ładny był z niego chłopczyk. W takich warunkach i ja przyszedłem na ten świat ciemnoty, zabobonu, bez lekarzy i opieki. Słabi i pechowcy umierali, szczęściarze przeżywali – ot, taka Afryka, tyle że w Polsce.

Urodziłem się na końcu świata, a jeśli nie świata, to na pewno na końcu mapy. Najlepszy dowód, że u nas autobusy zawracały, bo dalej drogi już nie było. Miasteczko, z któ-

rego pochodzę, było niewielką osadą położoną na granicy polsko-sowieckiej; dzisiaj jest to granica z Białorusią. Nazywało się Kodeń i słynęło z tego, że mieli tam swój dwór i dobra książęta Sapiehowie. Po dworze pozostały ruiny, dobra rozparcelowano, ostały się tylko dwa kościoły. Jeden ma prawie sześćset lat, drugi jest o dwa wieki młodszy. Sapiehowie kodeńscy wsławili się tym, że któryś z ich przodków skradł z Rzymu obraz cudownej Matki Boskiej, za co go ówczesny papież wyklął z Kościoła, skazując równocześnie na potępienie i wieczne męki piekielne. Sapieha się jednak uparł i obrazu nie oddał. Dzisiaj nazywa się on obrazem Matki Boskiej Kodeńskiej i ma własności cudotwórcze. Dwa razy w roku odbywają się w związku z nim odpusty.

Przed ostatnią wojną Kodeń był typowym miasteczkiem kresowym, z dużą liczbą Żydów, synagogą, z ryneczkiem zapełnionym straganami i sklepikami, do których zjeżdżali chłopci z okolicznych siół, aby się z Żydami targować. W czasie okupacji Niemcy Żydów wywieźli i wymordowali co do jednego. Wydawało się, że jedynym, któremu się jednak uda przeżyć, będzie młody Pinkus, znajomy mojego dziadka. Pinkus chował się długi czas po chłopskich stodołach, ale go Niemcy pod koniec wojny wywęszyli i zastrzelili, gdy przeżywał przez pole z jednej kryjówki do drugiej. Mój ojciec miał więcej szczęścia. Niemcy jedynie postrzelili go w nogę, gdy uciekał na koniu, którego Szwabcy chcieli dziadkowi zarekwirować. Samego dziadka, ojca mamy, też omal nie zabili, gdy – nie wiedząc o ostatniej wywózce Żydów – przyszedł do żydowskiego szewca, by zabrać swoje buty z naprawy. Niemcy początkowo wzięli go za właściciela warsztatu, który jakimś cudem uciekł z transportu. Na szczęście ktoś dziadka rozpoznał i skończyło się na krwawym pobiciu.

Od małego żyliśmy w zgodzie z naturą. Wstawaliśmy wraz z kurami i kładli się z kurami, pracując od świtu do nocy na pięciu hektarach jałowej, niepłodnej roli. Mieliśmy półtorej krowy, jedną dużą, starą, drugą młodą, która potem urodziła cielę i wtedy mieliśmy dwie pełne krowy.

W Kodniu pasienie krów zorganizowane było w rodzaj spółdzielni. Gospodarze grupowali wszystkie krowy i wysyłali je na pastwisko w towarzystwie oddelegowanego przez wieś, dyżurnego pastucha. Co dwa tygodnie tę zaszczytną funkcję pełniłem ja i mój młodszy brat Zdzicho. Pasienie krów sprawiało nam jednak trudności, bo jak na małych chłopców było to zajęcie bardzo odpowiedzialne. W południe bowiem zlatują się do krów muchy i gzy. Krowy się wtedy płoszą, wierzgają, uciekają ze „spółdzielni”. Co prawda w szkole nas uczyli, że świat ma cztery strony, ale w tym przypadku trzydzieści krów potrafiło rozbiec się w trzydzieści różnych stron świata. Jak je teraz dogonić, jak spędzić z powrotem? Ogarniała mnie rozpacz, gdy po ataku gzów nie mogłem się doliczyć stada. W pobliżu pastwiska był las. Znajdź człowieku krowę w lesie! Pasienie krów było dla mnie jednym wielkim stresem. Z rana, pół biedy, kiedy jednak przylatywały muchy, przeżywałem dramat. Spokój powracał dopiero wieczorem; zbieraliśmy kawałki chrustu, patyki, wysuszone krowie łajno, rozpalaliśmy ognisko i piekli w nim ziemniaki. Pieczone ziemniaki smakowały wspaniale. Nie chciało się wtedy do domu wracać, tak było przyjemnie.

Prócz dwóch krów mieliśmy dwie świnię, tuzin kur i to wszystko, no, jeśli nie liczyć szczurów, których mieliśmy w bród. Duże szczury wielkości świnki morskiej, z długimi ogonami wychodziły nocą na żer i jadły co popadło. Raz wyjadły nam wszystkie pisklęta, które się właśnie wykluły. Kot był bezsilny, bo i jego potrafiły zaatakować.

Marzeniem ojca był koń. Na konia nas jednak nie było stać.

Mieszkaliśmy w jednej izbie, w domu, który dzieliliśmy z dziadkiem. On miał, jak to się wtedy mówiło, większą połowę – dwie izby i kuchnię – my tylko jedną izbę i to taką, do której trzeba było iść przez kurnik, stąpając ostrożnie, aby nie wejść w kurze gównu, co nam się rzadko udawało. „Ten kurnik to wasze przekleństwo” – mawiał lekarz, który dojeżdżał dawać nam, mnie lub Zdzichowi, zastrzyki. Bo chorowaliśmy często. Przeszliśmy chyba wszystkie znane choroby dziecięce, łącznie z żółtaczką. Zapadliśmy na nią razem ze Zdzichem, w dodatku na jej odmianę zakaźną. Byliśmy w Kodniu swego rodzaju bohaterami. Jeszcze nigdy dotąd nikt tam na tę chorobę nie zapadł. Wysłano nas do szpitala w Białej Podlaskiej i to aż na dwa tygodnie. Leżeliśmy w pokoju dla zakaźnych, gdzie stały dwa łóżka, pościel była biała jak śnieg, mieliśmy własną toaletę, wszystko pachnące i czyściusienkie. Takiego jedzenia jak w szpitalu nie dostawaliśmy w Kodniu, no może z wyjątkiem Bożego Narodzenia, a i to nie w każde święta. Dlatego trudno nam było zrozumieć, dlaczego nasza biedna mama stoi pod oknem i płacze nad naszym losem. Mieliśmy się w szpitalu lepiej niż w rodzinnym domu. W Kodniu wychodek stał na zewnątrz i trzeba się było podcierać szorstką „Trybuną Ludu”, tu zaś była czysta ubikacja i mięciutki papier toaletowy. Nigdy wcześniej nie byliśmy w prawdziwej toalecie, więc kiedy Zdzicho pociągnął z ciekawości za sznurek i z szumem spłynęła woda, przeraziliśmy się, że coś popsuliśmy. Wkrótce jednak przyzwyczailiśmy się do luksusów życia w szpitalu i, szczerze mówiąc, nie ucieszyliśmy się wcale, gdy lekarz uznał, że jesteśmy zdrowi i możemy wracać do Kodnia.

Gdy już trochę dorosłem, posłano mnie do szkoły. Rano byłem w szkole, a po powrocie pomagałem rodzicom przy go-

spodarce. I tak nam życie schodziło. O telewizji nawet żeśmy nie słyszeli, ale radio, owszem. Mój dziadek, Antoni Witkiewicz, był właścicielem urządzenia, które je przypominało; był to kryształek ze słuchawkami. Istny cud świata!

Dziadek Antoni, na warunki kodeńskie, był człowiekiem zamożnym. W początkach XX wieku wyjechał do Ameryki. Pracował tam przez kilkanaście lat i wrócił do domu z kilkoma tysiącami dolarów, co było wtedy prawdziwą fortuną. Postawił za nią dwa domy. W jednym mieszkał sam, w drugim urządził duży sklep, którym dość skutecznie konkurował z miejscowymi Żydami. Na owe czasy była to rzadkość, bo handlowe talenty Polaków ograniczały się przeważnie do krytykowania żydowskich kupców. Dziadek nie przestawał inwestować. Wybudował młyn, jedyny w okolicy, co mu przynosiło duże dochody. Założył restaurację, czyli gospodę, na której też dobrze zarabiał. Dwoił się i troił, dogładając swoich interesów, dzięki czemu stał się najbogatszym mieszkańcem Kodnia. W miarę upływu lat zaczęło mu jednak brakować energii, a może i chęci, i majątek zaczął podupadać.

Dla nikogo w Kodniu nie było tajemnicą, że nieszczęściem dziadka byli dwaj jego synowie – mój ojciec i jego brat. Nie dość, że głowy do biznesu nie mieli, to na dodatek ochoty do roboty też nie. Woleli korzystać ze zdobyczy władzy ludowej i wspierać jej monopol... spirytusowy, niż pomagać swemu przedsiębiorczemu ojcu. Nie dość, że mu nie pomagali, to go na dodatek okradali. Ostatecznie majątek dziadka upadł; młyn rozebrano na podpałkę, restaurację zamknięto, a resztę roztrwonili synowie na gorzałkę.

Dziadek nie tylko miał talent do interesów. Dziadek był człowiekiem mądrym. Dużo czytał, słuchał nowinek i interesował się światem. Był jedyną znaną mi wtedy osobą, która na co dzień czytała gazety. Gdy tylko znalazł wolną chwilę,

nakładał na uszy słuchawki swego „radia” i słuchał, co też się w tym świecie dzieje. Kiedy pojawił się na rynku „kołchożnik”, dziadek Antoni był pierwszym, który go sobie zainstalował w domu. Po raz pierwszy słuchałem tego cudu techniki, kiedy dziadek zaprosił mnie na... pogrzeb Bieruta. Było to w 1956 roku, miałem niespełna siedem lat. Pogrzeb był dla mnie wstrząsem. Dla mnie Bierut był królem, który rządził Polską. Co się teraz z nami stanie – pytałem dziadka – gdy nasz król umarł? Uśmiechał się tajemniczo, ale nie powiedział nic. A nuż jakiś sąsiad gotów podsłuchać i donieść, że były kułak zniechęca młode pokolenie do wiary w najlepszy ustrój świata.

Dzięki dziadkowi Antoniemu byłem jednym z nielicznych chłopaków z Kodnia, którzy systematycznie słuchali radia. Moi rodzice byli za biedni nawet na kołchożnik, dlatego słuchałem go u dziadka. To dziadek rozbudził we mnie zainteresowanie światem. Opowiadał mi o potężnej i tajemniczej Ameryce, o tym, co dzieje się w wielkim świecie, czytał na głos gazetę i objaśniał znaczenie słów. Bardzo mnie lubił i często twierdził, że „wyrosną ze mnie ludzie”. Dzięki niemu zainteresowałem się geografią. Już w szkole podstawowej znałem mapę świata, wszystkie góry, rzeki, państwa i ich stolicy. Pamiętam, jak w czasie kryzysu kubańskiego kierownik szkoły wezwał nas do świetlicy, pokazał na mapie, gdzie ta Kuba leży, i w kilku propagandowych zwrotach wyjaśnił, co tam się dzieje. Baliśmy się wtedy okropnie, że będzie wojna, że Amerykanie rzucają bomby atomowe na Kodeń, bo my przecież na granicy z Sowietami. Dziadek uspokoił mnie wtedy, że Ameryka to silny, lecz dobry kraj i do wojny nie dopuści. Mimo to bałem się nadal. A nuż dziadek się myli? – myślałem.

Wyrastałem jak typowy wiejski chłopak, którego gros zainteresowań skupiało się wokół gospodarstwa i kościoła.

Od kiedy tylko byłem w stanie udźwignąć dzwonki, służyłem do mszy jako ministrant. Wstawałem, gdy było jeszcze ciemno. Zanim zaczęły się lekcje, zdążyłem odsłużyć roraty lub mszę poranną. W osadach takich jak nasza, kościół i plebania odgrywały rolę domów kultury. Księży mieliśmy mądrych i energicznych, toteż szybko zawiązał się przy parafii teatrzyk młodzieżowy, chór i klub ministrantów. Zimą jeździliśmy z księdzem Zapłatą na kuligi z pieczeniem kiełbasy, którą nam wielebny fundował. Latem graliśmy w piłkę albo pływali w pobliskiej rzece. Największym wydarzeniem był jednak Opłatek, bo wtedy księża urządzali nam prawdziwą ucztę. Była muzyka z magnetofonu, śpiewy, no i najważniejsze – dobre jedzenie. Kanapki z szynką, sałatka z jajek i ziemniaków, bułki z masłem, kakao – ślinka nam ciekła. Nas na takie luksusy, mimo wysiłków mamy, nie było stać nawet na święta.

Odkąd tylko mama nauczyła mnie czytać, a czytać umiałem już w pierwszej klasie, książki stały się moją pasją. Czytałem od świtu do nocy, w tempie jedna książka na dzień. Książki były moją ucieczką od rzeczywistości, marzeniem o życiu innym niż to w Kodniu. Czasem, gdy książka była gruba, jak na przykład Verne'a *Podróż do wnętrza ziemi*, w nocy, gdy już wszyscy zasnęli, włączałem żarówkę i czytałem, aż skończyłem. Nierzadko świt zastawał mnie nad lekturą. Gdy przeczytałem wszystkie książki z biblioteczki szkolnej, zaczynałem czytać je powtórnie.

Pierwszy prawdziwy telewizor zobaczyłem dopiero w 1963 roku. Ojciec mego najlepszego kolegi, Stasia Sositko, wygrał na loterii „Belweder”. Pamiętam, że kiedy Sława Przybylska śpiewała piosenkę *Pada śnieg*, to na ekranie nie widać było niczego poza tym śniegiem. Myśleliśmy, rzecz jasna, że to tak ma być. Dopiero kiedy parę miesięcy potem niedaleko Lublina zainstalowano antenę przekaźnikową, przekonaliśmy się,



że na ekranie telewizora można jednak rozróżnić postaci. Kiedy w listopadzie tegoż roku pokazano, jak zginął prezydent Kennedy, dzieliliśmy z jego rodziną ból, jakby był, co najmniej, naszym krewnym. Była to bez wątpienia zasługa telewizji, która – jak żaden inny środek przekazu – działała na naszą wyobraźnię. Mimo iż Stasio był moim najlepszym kolegą, telewizję oglądałem u niego bardzo rzadko; tylko wtedy, gdy pana Sositko nie było w domu. A i to przeważnie zza drzwi do sieni, bo ojciec Stasia nie pozwalał zapraszać do domu takich biedniaków jak Witkowicze. Sołtysa, kierownika szkoły, sekretarza gminy – owszem, ale dla mnie czy mego brata były to za wysokie progi.

Jak już wspomniałem, ojciec mój szybko zorientował się, że władza ludowa niesie ze sobą pewne korzyści, i to znacznie większe dla klasy robotniczej niż dla chłopstwa, porzucił więc swe chłopskie pochodzenie, w którym wyrósł, stając się murarzem, czyli robotnikiem. Budował ludziom domy, obory, stodoły, raz nawet zajął się remontem kościoła w Kodniu. Był podobno niezłym murarzem, i choć na owe czasy zarobki miał dobre, z powodu słabości do alkoholu przepijał je co do grosza. Gdyby nie mama, która zajmowała się gospodarstwem rolnym, nie związalibyśmy końca z końcem.

Ojciec pracował w sąsiedniej wiosce, piętnaście kilometrów od domu. Wyjeżdżał do pracy w poniedziałek i wracał na weekend w sobotę po południu. Dawał nam wtedy po dwa złote, co wystarczało na dwie gałki lodów dla każdego. Lody śniły nam się po nocach, były naszym najskrytszym marzeniem i największym skarbem. Na co dzień żyliśmy bardzo biednie. Bywały dni, kiedy brakowało w domu jedzenia, nie mówiąc o tym, że często miesiącami nie jedliśmy mięsa. Najgorzej było na przednówku, czyli wczesną wiosną, gdy zapasy z poprzedniej jesieni kończyły się, a nowych plonów jeszcze nie było.

W domu nie mieliśmy bieżącej wody, łazienki i chodziliśmy często w połatanych spodniach i dziurawych butach. Zdarzało się, że naszym jedynym całodziennym wyżywieniem była kromka chleba zamoczona w wodzie i posypana cukrem, albo posmarowana dla smaku... czosnkiem. Mimo przynależności ojca do klasy robotniczej, władza ludowa nas nie rozpieszczała. Gdy ukończyłem szkołę podstawową, dziadek opuścił swoją połowę domu i zamieszkał w swym drugim domu, przy rynku. Wtedy jego izbę zajęliśmy my. Niestety, nie stać nas było na opłacanie „kołchoźnika” i po wyprowadzce dziadka gmina nam połączenie z komunalnym radiem odcięła. Wykombinowaliśmy jednak ze Zdzichem, że skoro są druty na słupie, to można je jakoś połączyć z domem i będziemy mieli darmowe radio. Wystarczy tylko znaleźć odbiornik. Jakimś cudem zdobyliśmy stary głośnik, pozostało jedynie wejść na słup i przeciągnąć drut od słupa do naszego domu. Tylko jak? Nie mieliśmy drabiny, ale gdyby nawet, to i tak słup był za wysoki. Rozwiązaliśmy problem sposobem, przywiązując kamień do kabla, którym rzucaliśmy na przewody na słupie tak długo, aż się połączyły. Wkrótce z głośnika popłynęła muzyka. Co prawda niezbyt głośna, bo druty nie były dobrze połączone, ale rekompensowała to rozkosz słuchania koncertu życzeń, Czerwono-Czarnych i Beatlesów; do dziś pamiętam wieczór, kiedy pierwszy raz usłyszałem *Michelle*. Mama bała się, że ktoś nas w końcu złapie i surowo ukarze, ukryliśmy jednak druty tak sprytnie w gałęziach drzew, że ich nie było widać.

W szkole podstawowej szło mi bardzo dobrze. Właściwie nie musiałem się uczyć, żeby dostawać same piątki. Była to zasługa lektur, a także mamy, która mnie do nauki zachęcała. Sama ukończyła tylko pięć klas, później musiała pracować w polu, ale była zdolna, zwłaszcza z matematyki. Mimo apeli

ze strony kierownika szkoły, który dostrzegł w niej potencjał, ojciec mamy, a mój dziadek, nie widział sensu w tym, aby dziewczyna miała wykształcenie. „Wystarczy, jak umie trochę czytać i liczyć. Więcej jej nie trzeba!”.

Książki nie tylko otwierały mi oczy na inny świat, zauważyłem też, że nie wszystko, co do tej pory uznawano w Kodniu za niepodważalną prawdę, taką prawdą rzeczywiście było. Wiele z tzw. mądrości ludowych okazywało się zabobnem i przesądem. Zacząłem też dostrzegać nieścisłości w tym, co mówili nauczyciele lub księża w kościele. Ci ostatni prowadzili wtedy ostrą krucjatę antyalkoholową. Popierałem ich w duchu, bo na własnej skórze czułem skutki alkoholizmu ojca, jego brata i prawie wszystkich sąsiadów, którzy pili na umór, przepijając wszystkie pieniądze i wpędzając swe rodziny w nędzę. Modliłem się gorąco, aby mój ojciec przestał pić. Z drugiej strony, jako ministrant widziałem, że księża też piją. Wprawdzie było to wino podczas mszy świętej, ale przecież głosili z ambony, że szatan siedzi w każdej kropli alkoholu. Szczerze mówiąc, mój młody umysł nie dawał sobie rady z tym szatanem. No bo jeśli miłosiwny i potężny Bóg słucha naszych modlitw, to dlaczego nie ulży naszym cierpieniom powodowanym alkoholizmem? Przecież mógłby szatana przegonić, aby już nikogo nie kusił. Dlaczego tego nie robi? Nie chce czy nie może? Były to moje pierwsze kroki na drodze niezależnego myślenia.

Niewiele brakowało, by ta niezależność myślowa zakończyła moją karierę naukową na szkole powszechnej.

Było to w szóstej klasie. Zima tego roku była wyjątkowo mroźna, więc kierownictwo szkoły ze względów oszczędnościowych postanowiło pewnych pomieszczeń klasowych nie ogrzewać. Było nam zimno. Zezłościło mnie to, tym bardziej, że na placu za szkołą leżały hałdy węgla.

– Tak być nie może! – rzuciłem w klasie. – Jeśli nie zaczną grzać, zabieramy się do domu!

Koledzy mnie posłuchali i zastrajkowali; poszliśmy do domu, zanim zaczęły się lekcje.

Czegoś takiego w Kodniu jeszcze nie było. Strajk, i do tego w szkole! Kierownik szkoły, pan Jagielak, nie wiedział, co z tym fantem począć. Z jednej strony chciał mnie nauczyć pokory, z drugiej chyba czuł, że mam rację. Mama była przerażona. Oczami wyobraźni widziała, jak wiozą nas w kibitce na Sybir. Skończyło się na tym, że wezwano do szkoły rodziców i wspólnie uradzono, że jeśli kierownika publicznie przeproszę, sprawa pójdzie w zapomnienie.

Nazajutrz rankiem ja przeprosiłem pana Jagielaka, on zaś polecił rozpalić w szkolnych piecach. Odtąd nigdy już w klasie nie marzliśmy. I chociaż byłem tym zajściem przerażony, czułem, że wydarzyło się coś ważnego i że czasami – dla osiągnięcia pożądanego celu – trzeba się zbuntować, nawet za cenę strachu.

Ponieważ dobrze się uczyłem, nieźle śpiewałem, byłem ministrantem i pupilkiem naszych księży, a przede wszystkim księdza Zapłaty, rodzina doszła zgodnie do wniosku, że i ja muszę zostać księdzem. Prosto po szkole podstawowej miałem iść do seminarium ojców oblatów koło Poznania. Na wszelki wypadek mama wysłała mnie do Terespoła, odległego od Kodnia o 20 kilometrów, bym zdał egzamin do liceum ogólnokształcącego. Niewiele brakowało, a oblałbym z matematyki, która była moją najsilniejszą stroną. Zadania egzaminacyjne rozwiązałem w sposób tak niekonwencjonalny, że egzaminujący nas profesor posądził mnie o ignorancję. Dopiero po dłuższym namyśle dopatrzył się w mojej metodzie pomysłowości i oryginalności. Na wszelki wypadek, zanim ogłoszono wyniki egzaminów, mama zapakowała koszyk rąbanki, masło

i tuzin jaj i zjawiła się u kierownika liceum, żeby pozyskać jego względy i „zabezpieczyć” moje miejsce w szkole. Zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo egzaminy zdałem na medal i zostałem przyjęty. Kierownik jednak rąbanki nie zwrócił.

I teraz stanąłem przed dylematem: iść do seminarium i zostać osobą duchowną czy do liceum i pozostać świeckim. Mama powtarzała, że jeśli syn jest księdzem, to matka ma zapewnione miejsce w niebie. Tak przynajmniej uważano w Kodniu. Nie wiedziałem, co począć. Wtedy niespodziewanie do akcji wkroczył ojciec. Byłem zaskoczony, bo nigdy się mną nie interesował, a tu nagle wziął mnie na stronę i powiedział:

– Ja cię, synu, nie namawiam. Jeśli jesteś przekonany, że chcesz być księdzem, to idź do seminarium. Jeśli jednak masz jakiegokolwiek wątpliwości, nie idź.

Trochę byłem ojca radą zawiedziony. Oczekiwałem jasnej odpowiedzi na pytanie: iść na księdza czy do ogólniaka?, tymczasem on pozostawił decyzję mnie. Trudny wybór jak na trzynastoletniego chłopca. Co zrobić? Coś jednak wybrać musiałem. I wybrałem ogólniak. Posłuchałem ojca; po prostu nie byłem do końca przekonany, czy chcę zostać księdzem. Była to dla mnie trudna lekcja. Zwykle dziecko wie, że w sprawach życiowych rodzice czy inni dorośli powiedzą mu, co zrobić. W tym przypadku ojciec pozostawił decyzję mnie. Z perspektywy czasu wiem, że postąpił mądrze. Na każdym kroku stykam się z ludźmi niepotrafiącymi podjąć zwykłej decyzji. Boją się, odwlekają ją, czasem w ogóle zostawiają sprawy swojemu biegowi. Bo umiejętność podejmowania decyzji to taki sam dar jak talent muzyczny czy sportowy, i niestety większość ludzi go nie posiada.

Poszedłem do księdza, porozmawiałem z nim, przyznałem, że mam jednak wątpliwości i dlatego do seminarium nie

pojadę. Był moją decyzją zasmucony, choć ją rozumiał i nie potępiał. Z pięciu chłopaków, którzy z naszej szkoły wybrali się na księdza, tylko jeden był w pełni o swoim powołaniu przekonany, i on księdzem został. Młody człowiek na wsi nie zna świata, ja, przypadkiem, a może ze strachu, wybrałem szkołę i stan świecki, zresztą innego pomysłu nie miałem.

Liceum było następnym poważnym rozdziałem w moim życiu.

W szkole podstawowej byłem prymusem. Nauka szła mi jak z płatka. Ale liceum to nie szkoła powszechna, a Terespol to nie Kodeń. Terespol był dla mnie kompletnym zaskoczeniem. Ludzie elegancko się nosili. Każdy miał ubrania i buty na zmianę; ja miałem tylko jeden podniszczony garniturek i parę butów, którą zmieniałem na inne, gdy już mi z nóg spadły. Miałem jedną koszulę, jedne kalesony, jedne skarpetki; mama to wszystko co jakiś czas prała i cerowała. W Kodniu mówiło się inaczej, z wiejskim akcentem i nie tak światowo. Stąd w Terespolu od razu rozpoznano we mnie kmiotka z prowincji. Ja ich zresztą nie wyprowadzałem z błędu. Od pierwszego dnia coś się we mnie ze strachu zacięło i nie potrafiłem mądrego zdania z siebie wydobyć. Jako ktoś gorszy byłem obiektem drwin i nietolerancji. Nie tylko ze strony kolegów szkolnych, lecz także nauczycieli. Szczególnie „upodobał” mnie sobie nauczyciel od historii. Któregoś dnia poprosił mnie do tablicy i zaczął zadawać dziwne pytania w rodzaju: „W którym roku Kopernik odkrył Amerykę?”. Ja – przestraszony i stremowany – nie wyczuwając prowokacji, odpowiadam, że w 1492. Cała klasa, na czele z nauczycielem, w ryk. Nie rozumiem, dlaczego się śmieją, przecież dobrze wiem, kiedy odkryto Amerykę. Z nerwów pomieszało mi się w głowie; Kopernik, Kolumb. Pan od historii zrobił sobie ze mnie pośmiewisko.

Incydent ten był dla mnie przebudzeniem. Do tego czasu miałem problemy z każdym przedmiotem. Wiedziałem, rozumiałem, pamiętałem, wystarczyło jednak, że nauczyciel wyrwał mnie do odpowiedzi, wszystko zapomniałem; jedna wielka biała plama. W efekcie nie potrafiłem się wypowiedzieć i dostawałem dwóję lub, co najwyżej, trójkę z minusem. W gardle mnie ścisnęło, mózg nie pracował. Do momentu, aż mną nauczyciel od historii „wstrząsnął”. Jakże to – pomyślałem. – Inni uczniowie, wcale ode mnie nie zdolniejsi, potrafią, a ja nie?! Przecież ja wiem przynajmniej tyle, co reszta. Jestem tylko nieśmiały. Muszę z tym skończyć! – poprzysiągłem sobie w duchu. Wielkiego wyboru zresztą nie miałem. Gdybym się wtedy nie wziął w karby, to edukację zakończyłbym na pierwszej klasie licealnej i wrócił ze wstydem do Kodnia. Taka perspektywa nie wyglądała zachęcająco.

To były dla mnie ciężkie chwile. Miałem dopiero niespełna czternaście lat i nie znałem nikogo, kto mógłby mi pomóc lub coś doradzić. Byłem sam jak palec. Nie mogłem przecież przyznać się rodzicom, że idzie mi źle. Nie chciałem ich martwić. Tym bardziej, że oni też nie mogli mi pomóc. W dziejach Kodnia nikt tak daleko jak ja jeszcze nie zaszedł. Pierwsza klasa liceum to było wtedy osiągnięcie. Zrozumiałem, że jeśli sam nie podołam, nikt mi nie pomoże. Po raz pierwszy poczułem się zagubiony, samotny i przygnębiony wymaganiami szkoły, a właściwie tym, że nie potrafię im sprostać. To był mój pierwszy życiowy kryzys, który musiałem przezwyciężyć o własnych siłach. Trudna sprawa, zwłaszcza że nie miałem pomysłu, jak nabrać pewności siebie i opanować wiedzę tak, aby już nigdy nikomu nie udało się mnie zaskoczyć.

Podnajmowałem pokój na stacji u pewnej starszej pani. Ponieważ mieszkanie było tanie, więc najczęściej było niedogrzone. Mogłem co prawda zastrajkować, ale oznaczałoby

to wyrzucenie ze stacji. Zimą siedziałem więc z gospodynią w kuchni, a kiedy przychodził czas spania, rozbierałem się i błyskawicznie wskakiwałem do lodowatej pościeli. Od tego czasu pozostało mi przyzwyczajenie do spania w nieogrzewanym pomieszczeniu.

Z domu dostawałem bochenek chleba, cebulę, trochę jajek i 50 złotych tygodniowo na wszystkie wydatki. Nawet na skromne utrzymanie było to bardzo niewiele. Przeciętna pensja wynosiła wtedy w Polsce około 1500 złotych miesięcznie. Nie skarżyłem się jednak, gdyż wiedziałem, że i tak rodzina odejmuje sobie od ust, abym mógł się kształcić. Mimo skromnego kieszonkowego tak pieniędzmi gospodarowałem, że potrafiłem oszczędzić nieraz 20 złotych tygodniowo.

Przez trzy lata nauki w liceum moje menu wyglądało następująco: na śniadanie kromka chleba i jajka z cebulą, na obiad kromka chleba i jajka z cebulą, na kolację zaś... jajka z cebulą i kromka chleba. Dzisiaj jajek nie tknę! Nienawidzę ich, mam do nich głęboki uraz. Dietę miałem mało urozmaiconą, potrafiłem jednak docenić wartość pieniądza. Kiedy w sobotę jechałem do domu, stać mnie było nie tylko na bilet autobusowy, który kosztował 7 złotych, ale i na paczkę papierosów „Silesia” czy „Extra-mocnych” po 5,20 dla ojca. Pamiętam te ceny do dzisiaj. Żyło się biednie, ale do przodu.

Nauka w liceum nauczyła mnie także gospodarowania czasem. W porównaniu z Kodniem, poziom terespolskiej szkoły był bardzo wysoki. To, że byłem dobrym uczniem w Kodniu, w Terespolu nie gwarantowało nawet pozycji *outsidera*. Jeśli bym nie umiał rozplanować sobie zajęć i nauki, nigdy nie dogoniłbym swoich kolegów. Ze szkoły wracałem o 2.30 po południu, do trzeciej robiłem sobie jedzenie, potem siadałem do nauki. Na każdy przedmiot miałem około godziny. Ostatnią godzinę poświęcałem na historię, której – i to



wcale nie z powodu osoby uczącego – nie cierpiałem. Nie lubię przedmiotów, które wymagają wkuwania faktów; z podobnego powodu nie darzyłem sympatią ani biologii, ani chemii. Lubiałem natomiast matematykę i fizykę, bo tam wystarczało logiczne myślenie, pomysłowość i spryt.

Szkoły generalnie nie lubiałem. Drażniło mnie tępe, tradycyjne podejście do dyscypliny. W Polsce zauważa się dziecko tylko wtedy, kiedy coś przeskrobie. Wobec dzieci obowiązują tylko kodeks karny, żadnych nagród. Wychowanie młodego człowieka polega na wywołaniu w nim poczucia winy, bo wtedy można nad nim zapanować.

Mieliśmy taką okropną, wredną starą pannę od polskiego. Pasją tej kobiety była operetka. Każdego miesiąca zapraszała do szkoły artystów operetki lubelskiej, którzy wyśpiewywali nam arie. Nikogo z uczniów ten rodzaj muzyki nie interesował, a szczególnie nudził on mnie. Dawaliśmy temu wyraz głośnym zachowaniem i żarcikami podczas „koncertów” – jak to młodzi. Więc ona mściła się na nas na lekcjach polskiego. Jedyne dobre układy miałem z łacinnikiem, który był równocześnie dyrektorem gimnazjum. Nie żebym się tej łaciny tak dobrze uczył, pomogła najprawdopodobniej rąbanka mojej mamy. Na całe nieszczęście, pan od łaciny przeszedł na emeryturę i do szkoły przyszła młoda, przystojna absolwentka filologii klasycznej uniwersytetu lubelskiego. Ta nam dała do wiwatu. Mimo dwóch lat łaciny z dyrektorem, okazało się, że nikt w klasie, na czele ze mną, łaciny nie znał. Nowa nauczycielka postanowiła to zmienić. Na dzień dobry wszyscy dostali lufę, i to chyba sprawiedliwie. W rok ze strachu nadrobiliśmy zaległości; na świadectwie miałem z łaciny w pełni zasłużoną czwórkę. Było to bolesne doświadczenie tego, co może z uczniami zrobić nauczyciel, jeśli mu na czymś zależy. Wtedy cierpiałem, ale dzisiaj łacina mi się przydaje. Dzięki niej szybko nauczyłem się angielskiego.

Pod koniec ósmej klasy byłem uczniem średnim z tendencją zwyżkową. W klasie dziewiątej doszłusowałem do „peletonu”, przy czym z matematyki i fizyki należałem już do ścisłej czołówki. Wciąż jednak nie miałem pojęcia, dokąd zmierzam i co ze mną będzie? Na co mnie stać? Co naprawdę lubię i chcę robić w życiu? Polskie licea nie zachęcają zresztą do precyzowania zainteresowań. Każdy przedmiot traktowany jest z jednakową wagą. Nie ma – przynajmniej wówczas nie było – podziału na specjalności ścisłe, przyrodnicze czy humanistyczne, a tym bardziej, jak w szkołach amerykańskich, nie ma *councillors*, czyli doradców pomagających dziecku w ukierunkowaniu wyboru na przyszłość.

Wtedy zresztą nie miałem specjalnych aspiracji. Matura i tak była dla mnie wielkim osiągnięciem, bo w Kodniu tylko księża mieli wykształcenie, reszta kończyła na siedmiu klasach. Pamiętam jednak, że mniej więcej pod koniec liceum zaczęła mnie ta polska rzeczywistość drażnić. Wpadłem w depresję. Czuję, że ten system nie jest dla ludzi, że nie sprzyja doborowi pozytywnemu, że dobrym jest się trudniej przebić niż cwany i dobrze spowinowaconym. Wujek w komitecie, łapówka czy odpowiednia przynależność działały więcej niż wiedza, umiejętności, ambicje. W dodatku drażnił mnie sposób traktowania ludzi. Ciągłe ktoś na nas krzyczał, ganił nas. Ksiądz w kościele, nauczyciele w szkole, ekspedientka w sklepie, urzędnik w gminie.